

JĘDRZEJ BIELECKI

Polska znów staje się krajem frontowym. Białoruski i ukraiński bufor zanika: stajemy twarzą w twarz z odrodzonym, rosyjskim imperium. I nie jesteśmy na tę sytuację przygotowani.

NA WSCHODZIE BEZ ZMIAN

da Siekmann nie miała szczęścia. Zabrakło jej kilku sekund. Gdyby strażacy po zachodniej stronie Bernauer Strasse na czas rozpięli siatkę ratunkową, 59-letnia pielęgniarka mogłaby przeżyć. Dotkliwie zraniona po upadku z czwartego piętra na bruk, zmarła jednak kilka godzin później w szpitalu.

Siekman, pierwsza ofiara muru w poprzek Berlina postawionego 13 sierpnia 1961 r., stała się symbolem podziału Niemiec i ich dawnej stolicy. Przypadek Bernauer Strasse był szczególny: linia podziału przebiegała środkiem ulicy. Mieszkańcy numerów parzystych zostali skazani na życie przez następne pokolenie w brutalnej dyktaturze, nieparzystych mogli cieszyć się wolnością. W pierwszych dniach ucieczka była dość łatwa: wystarczyło skoczyć z pierwszego piętra przez niewysoką jeszcze wówczas przeszkodę. Jednak 18 sierpnia ówczesny przywódca NRD Walter Ulbricht kazał zamurować okna w dolnych kondygnacjach. I choć zachodniemiecka straż starała się zdążyć na czas przy każdej próbie skoku z wyższych pięter, w przypadku Siekmann okazało się to niemożliwe. Jej śmierć ostatecznie uświadomiła mieszkańcom Niemiec Zachodnich, że żyją w kraju frontowym, którego sąsiad posunie się do ostateczności byle obronić swoją strefę wpływów.

Białoruski wasal

Historia sprzed 60 lat niespodziewanie nabiera ostatnio aktualności. Murem między dwoma światami jest tym razem granica. Co prawda po drugiej stronie Bugu nie ma kraju, który stara się wzniesić komunistyczną rewolucję, a dzisiejsza Rosja nie jest potężnym Związkiem Radzieckim, drugim obok Stanów Zjednoczonych, mocarstwem świata. Jednak na widok represji w Mińsku trudno nie odnieść wrażenia, że Europę XXI wieku oddziela nie mniejsza przepaść cywilizacyjna od dyktatury Łukaszenki niż w czasach zimnej wojny Zachód od Wschodu. A Putin od przeszło dwóch dekad tak sprawnie posługuje się słabymi kartami, jakie daje mu rosyjski potencjał, że już wielokrotnie ograł znacznie potężniejszą Amerykę i Europę. – Nie ma kraju, który miałby lepszą strategię – podkreślał tydzień temu w „Plusie Minusie” amerykański analityk Edward Luttwak.

Podobieństwo do Niemiec jest też widoczne w terenie. Na polsko-białoruskiej granicy również powstaje mur. I choć tym razem jest on budowany przez kraj, który broni się przed hybrydowym napadem wasala Moskwy, to jednak jak w 1961 r. na naszych oczach tworzona jest szczelna bariera, która być może również na całe pokolenie skaże sąsiadów ze Wschodu na życie w zamkniętym, autorytarnym świecie.

Przez ćwierć wieku Łukaszenko potrafił sprawnie balansować między Moskwą, Waszyngtonem i Brukselą. W ten sposób stworzył sobie spory obszar niezależności wobec Kremla. Ta formuła wyczerpała się jednak latem zeszłego roku, gdy setki tysięcy Białorusinów wyszły na ulice, aby protestować przeciw drastycznemu fałszowaniu wyborów. Ten, którego Condoleezza Rice nazwała „ostatnim dyktatorem Europy”, sięgnął po tak brutalne metody represji, że Europa nie mogła dłużej iść z nim na kompromis, chyba że za cenę całkowitej utraty własnej tożsamości. Rozwodu dopełniło porwanie przez białoruskie służby w maju samolotu Ryanair z działaczem demokratycznym Ramanem Pratasiewiczem na pokładzie. Sankcje Brukseli były nieuniknione, bo bez przykładowego ukarania Białorusi, sytuacja mo-

głaby się powtórzyć w innych krajach, gdzie sprawowane są autorytarne rządy, a to mogoby sparaliżować międzynarodowy ruch lotniczy. Łukaszenko liczył, że uda mu się odwrócić restrykcje szantażem: ścignął w listopadzie na polską granicę tysiące imigrantów z Bliskiego Wschodu. Ale o powrocie do dawnego balansowania między Wschodem i Zachodem nie mogło być już mowy: Bruksela nie tylko poparła zdecydowane środki podjęte przez polski rząd dla ochrony granicy, ale wprowadziła kolejne restrykcje. W efekcie Łukaszenko wpadł w całkowitą zależność od Moskwy. Co prawda udało mu się uchronić odrębną walutę i stanowisko prezydenta, jednak rozmieszczenie tuż za Bugiem rosyjskich oddziałów specjalnych okazało się jednym z wielu sygnałów, że w przypadku Białorusi można co najwyżej mówić o ograniczonej autonomii, ale już nie niezależności.

Ukraińska obsesja

Rosja roztacza jednak swoje władztwo nie tylko na Białorusi, ale też nad częścią Ukrainy – i nie tylko nad zajęętym w 2014 r. Krymem. Amerykański wywiad już od wielu dni ostrzega, że Władimir Putin szykuje się do ofensywy, która ma podporządkować Kremlowi nawet połowę tego kraju. Prezydent jeszcze nie podjął decyzji, czy dać rozkaz do ruszenia w bój przeszło 100 tysiącom żołnierzy. Wiele wskazuje jednak na to, że nie zrobi tego tylko wtedy, jeśli Joe Biden pójdzie na układ z Moskwą, zgodnie z którym Kijów nie tylko zrezygnowałby ze starań o przystąpienie do NATO, ale także przestałby otrzymywać wsparcie wojskowe Zachodu. Inaczej mówiąc, Ukraina pogodziłaby się z rolą kraju wasalnego, który stopniowo znów wpadłby w orbitę Kremla.

Putin nigdy nie miał lepszej okazji do inwazji na Ukrainę – uważa Fiona Hill, odpowiedzialna za stosunki z Moskwą w administracji Donalda Trumpa. Jej zdaniem Zachód jest dziś bardzo słaby. Skoncentrowany na rywalizacji z Chinami Joe Biden ma rekordowo niskie notowania i za chwilę może stracić większość w Kongresie na rzecz republikanów. Niemcy żegnają się z epoką Angeli Merkel; Francję czekają wyrównane wybory prezydenckie wiosną, a Zjednoczone Królestwo wciąż liże rany po brexicie. – Putin ma prawdziwą obsesję na punkcie Ukrainy. Uważa, że w 2014 r. nie zakończył tego tematu. Uważa też, że jeśli nie podejmie teraz zdecydowanych działań, Ukraina, której armia szybko się modernizuje dzięki wsparciu USA, stanie się czymś na kształt amerykańskiego lotniskowca zakotwiczonego u boku Rosji. Kreml liczył, że w ramach Formatu Normandzkiego, dzięki wsparciu Niemiec i Francji, wymusi na Ukraińcach przyjęcie porozumienia z Mińska. Dałoby mu ono poprzez specjalny status dla Donbasu prawo weta dla przystąpienia Ukrainy do NATO. Nic jednak z tego nie wyszło – tłumaczy Andrew Weiss, wiceszef Fundacji Carnegie w Waszyngtonie.

Amerykańscy eksperci są zgodni, że Stany Zjednoczone nie zaangażują się w bezpośrednią wojnę z Rosją w obronie Ukrainy. – Nie wysłamy 82. Dywizji Powietrzno-Desantowej i Putin to dobrze wie – mówi obrazowo Samuel Charap, ekspert związanej z Pentagonem Rand Corporation. W Waszyngtonie myśli się raczej o nałożeniu zaporowych sankcji na Rosję w razie rozpoczęcia inwazji: odcięciu od rynków finansowych, może nawet zamrożeniu Nord Stream 2.

Choć jednak trudno sobie dziś wyobrazić, w jaki sposób Ukraina miałaby uniknąć bezpośredniej lub

pośredniej rosyjskiej dominacji, siła reakcji Zachodu będzie miała znaczenie dla przyszłości krajów wschodniej flanki NATO, przede wszystkim państw bałtyckich. Jeśli sojusz poprzestanie na symbolach i retoryce, Putin może dojść do wniosku, że ma do czynienia ze słabym rywalem i warto w stosownym momencie przetestować, ile są warte gwarancje bezpieczeństwa zapisane w artykule 5 traktatu północnoatlantyckiego.

Amerykańska konserwatywna Heritage Foundation podkreśla: „Kraje bałtyckie to zapewne jedyny region NATO, który jest za mały, aby dało się go obronić dzięki odsieczy siły znajdujących się w innym miejscu”. Tymczasem obecność natowskich wojsk na Litwie, Łotwie i Estonii pozostaje symboliczna. Rosja mnoży więc tu akty dywersji. Tylko w marcu samoloty NATO dziesięciokrotnie ścigały rosyjskie myśliwce, które pogwałciły lotewską przestrzeń powietrzną. Bezskutecznie.

Ground Zero

Wszystko to nie rysuje dobrych perspektyw na przyszłość dla naszego kraju. Polska dzieli aż 1267 km granic z Rosją, Białorusią, Ukrainą i Litwą. Czy możemy kiedyś być skazani na rolę obrońcy zachodniej Europy na całym tym odcinku? Doświadczenia Republiki Federalnej w czasach zimnej wojny pokazują w każdym razie, że status kraju frontowego nie jest do pozazdroszczenia. Najbardziej było to widoczne na płaszczyźnie wojskowej. Nigdzie na świecie nie było takiej koncentracji broni jądrowej jak w RFN i NRD. Niemcy żyli praktycznie w Ground Zero: epicentrum ewentualnego konfliktu atomowego. Gdyby do niego doszło, mogli być pewni, że z ich narodu i jego spuścizny historycznej nie pozostałoby nic. Na terenie obu państw niemieckich stacjonowały też obce wojska: około 200 tys. Amerykanów (u progu załamania komunizmu), przeszło dwa razy więcej Rosjan po drugiej stronie Łaby. I choć początkowo były symbolem pokonania Trzeciej Rzeszy, stopniowo stały się przede wszystkim kluczowym elementem konfrontacji dwóch wrogich bloków.

Taki stan wydawał się nie do ruszenia: nikt nie mógł przewidzieć, że w Moskwie dojdzie kiedyś do władzy przywódca, który będzie chciał dobrowolnie wycofać rosyjskie wojska z podbitych Niemiec. Szanse, że taki scenariusz powtórzy się w odniesieniu do podporządkowanej Białorusi i Ukrainy, są więc niewielkie.

Rola kraju frontowego determinowała także politykę zagraniczną powojennych Niemiec. Pierwszy kanclerz RFN, Konrad Adenauer, podjął fundamentalną decyzję o nieodwołalnym zakotwiczeniu kraju w instytucjach zachodnich (NATO i EWG), choć oznaczało to wówczas rezygnację ze zjednoczenia. Więcej – Bonn było wówczas nie tylko jedną z najbardziej proamerykańskich stolic Europy, ale także motorem integracji europejskiej. Niemcy konsekwentnie stawiali na „metodę wspólnotową”, czyli wzmocnienie ponadnarodowych instytucji w Brukseli. Stały za budową jednolitego rynku i powołaniem euro. Wychodziły naprzeciw postulatam Wielkiej Brytanii (jak rabat w składce do budżetu UE), byle Londyn pozostał częścią zjednoczonej Europy. Wszystko to, nie da się tego ukryć, było jednak dla Niemiec o tyle łatwiejsze, że z wojny wyszły naznaczone winą za Holocaust. Samo zaproszenie na salony Europy i możliwość współdecydowania o jej losach wraz z Francją była więc dla nich wielką nagrodą.



Posłuchaj,
Plus Minus

W piątek zapraszają:

**Michał Płociński
i Piotr Zaremba**

Słuchaj, aby wiedzieć więcej

podcasty  rp.pl

Konflikt z Unią

Do tak zdefiniowanej roli kraju frontowego Polska nie jest przygotowana. Co prawda za Bugiem i w obwodzie kalininradzkim, jak niegdyś w NRD, koncentruje się coraz więcej rosyjskich wojsk, jednak aliantów nad Wisłą prawie nie ma. Nieco ponad 5 tys. amerykańskich żołnierzy stacjonujących w naszym kraju na zasadzie rotacyjnej to wciąż przede wszystkim symboliczny wyraz solidarności, a nie realna siła na polu walki. To efekt decyzji Baracka Obama z 2016 r., który w ten sposób zareagował na okupację przez Rosjan Krymu. Przez kolejne lata administracji Donalda Trumpa polskim władzom nie udało się doprowadzić do jakościowej zmiany tego wsparcia. I nie zanoszą się, aby to było możliwe w przyszłości: jak powszechnie wiadomo, priorytetem dla Joe Bidena jest powstrzymanie imperialnych ambicji Pekinu, nie Moskwy.

To skazuje Polskę na wzięcie sprawy we własne ręce. Już teraz nasz kraj przeznaczają blisko 2,4 proc. PKB na obronę (14 mld dol. rocznie), jeden z najwyższych wskaźników w Unii. Jeśli rosyjski front na naszej wschodniej granicy bardziej się skonsoliduje, być może trzeba będzie kosztem rozwoju kraju poświęcić jeszcze więcej pieniędzy na wojsko.

Ale i polska polityka zagraniczna nie jest przygotowana do roli kraju frontowego. Punkt wyjścia jest zupełnie inny niż powojennych Niemiec. Podczas gdy nasi zachodni sąsiedzi chcieli wówczas jak najszybciej zapomnieć o kompromitującej przeszłości, zlewając się z ponadnarodową Wspólnotą, Polska odwrotnie: traktuje przystąpienie do instytucji euroatlantyckich jako umocnienie siebie odzyskanej suwerenności. Dlatego jeszcze za rządów Platformy Obywatelskiej nasz kraj utrzymywał dystans do takich projektów integracji jak unia walutowa. Jednak po przejęciu władzy przez Zjednoczoną Prawicę, eurosceptycyzm stopniowo przyszedł do paranoi obsesji. Podczas gdy wszystkie (poza Węgrami) kraje członkowskie potrafiły ułożyć modus vivendi z Brukselą, w tym takie jak Francja, Hiszpania czy Włochy o znacznie dłuższej od naszej historii i z pewnością nie mniej wyrazistej tożsamości, Polska otwiera coraz to nowe fronty walki z Unią. Na porządku dziennym staje pytanie, czy z naszej i Węgier winy Wspólnota nadal pozostanie związkiem demokratycznych państw. Na szwank jest też narażone nasze powojenne pojednanie z Niemcami.

- Grozi nam status protektoratu, czyli państwa, które formalnie ma swoje władze i organy administracji, ale w istotnych sprawach jest uzależnione od mocniejszego sąsiada. Taką rolę pisze dla nas UE z dominującym udziałem polityków niemieckich - to tylko próbka retoryki ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry, tym razem w wywiadzie dla tygodnika „Sieci” z końca listopada.

W takim układzie solidarność reszty Europy z wystawioną na konfrontację z rosyjskim imperium Polską nie jest pewna. Tym bardziej jeśli, jak to zapisano w umowie koalicyjnej nowego niemieckiego rządu, celem miałyby być głębsza integracja Unii, budowa „federalnej Europy” - cokolwiek by to znaczyło. Takie rozwiązanie popierają Francja i Włochy, dopóki rządzą nimi Emmanuel Macron i Mario Draghi.

Jednym słowem Polsce grozi nie tylko rola kraju frontowego, ale jeśli nie pogodzi się z Brukselą - ciągle balansowanie między Wschodem i Zachodem. W Waszyngtonie można usłyszeć, że przypadłaby nam rola „Turcji w wersji light” - kraju, który owszem, ma duże znaczenie strategiczne dla Ameryki, ale nie podziela tych samych wartości. Pozostając w takiej szarej strefie, z pewnością byłibyśmy wymarzoną polem dla rosyjskiej dywersji. Trochę jak Berlin Zachodni w okresie zimnej wojny, Warszawa mogłaby stać miejscem intensywnej działalności obcych służb, przede wszystkim rosyjskich. W czarnym scenariuszu takie balansowanie mogłoby jednak skończyć się znacznie gorzej: stopniową marginalizację w Unii i ciężeniem ku wschodniemu samodzielnemu.

Upadek Międzymorza

Niemcy rzadko były krajem frontowym. W czasach nam współczesnych stały się nim w wyniku zbrodniczej II wojny światowej. W dziejach Rzeczypospolitej odwrotnie: rola szańca Europy okazała się regułą, wręcz częścią tożsamości naszego

kraju. Sposobem na to, aby nie wpaść w zależność od potężnych sąsiadów, było budowanie koalicji z mniejszymi. Korzenie tej strategii można odnaleźć już w unii w Krewie z 1385 roku, którą przypieczętował ślub króla Polski Jadwigi i wielkiego księcia litewskiego Jagiełły. Co prawda wspólnym wrogiem był wówczas zakon krzyżacki, jednak nowy związek pchnął Polskę na zupełnie nowe tory rozwoju, także na Wschodzie. Powstało ogromne wieloetniczne państwo, które, sięgając granicami aż po Smoleńsk, rzuciło fundamentalne wyzwanie Rusi o pozycję głównej potęgi rozgrywającej w tej części Europy. Porażka cztery wieki później Rzeczypospolitej w tej wielkiej rozgrywce w znacznym stopniu tłumaczy, dlaczego Polsce tak trudno jest porozumieć się dziś z Rosjanami, wykuć jakąś logiczną politykę wobec Moskwy. Polacy nieświadomie wciąż nie pogodzili się z przegraną.

Miotająca się między pamięcią o dawnej wielkości a znacznie skromniejszymi realiami Polska powróciła do pomysłu odbudowy dawnej Rzeczypospolitej po I wojnie światowej. Ale z fatalnym skutkiem. Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Andrzej Chwalba w rozmowie z PAP tłumaczy: „Idea federacyjna okazała się największą porażką Józefa Piłsudskiego. (...) Dla niego i wielu innych osób urodzonych po powstaniu styczniowym było oczywiste, że Rzeczypospolita Polska musi się odrodzić w granicach sprzecznych rozbiórów. Ale by tak się stało, Piłsudski musiałby przekonać do życia we wspólnym państwie Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, a nawet Łotyszów. Jednak pomysł »wspólnego domu« okazał się utopijny, ponieważ każdy z powyższych narodów chciał budować własne państwo i to bez Polaków. Nastroje nacjonalistyczne Ukraińców i Litwinów były już wówczas bardzo silne. Litwini woleliby budować swoje państwo nawet we współpracy z Niemcami lub Rosjanami, ale nie Polakami. Ukraińcy, Litwini i w mniejszym stopniu Białorusini nie dostrzegali też dorobku I Rzeczypospolitej. Uważali, że unia Korony z Litwą była przyczyną ich późniejszych dramatów i nieszczęść aż po XIX wiek”.

Wnioski z porażki Piłsudskiego wyciągnęli Jerzy Giedroyc i Juliusz Mieroszewski. Wykuta przez nich doktryna ULB (Ukraina, Litwa, Białoruś) zakładała, że nie może być niepodległej Polski bez niepodległości jej trzech wschodnich sąsiadów. O budowie wspólnej federacji nie było już więc mowy, ale o wspólnocie losów wciąż tak. I to tak głębokiej, że zdaniem Redaktora z Maisons-Laffitte w żywotnym interesie Rzeczypospolitej jest utrzymanie niepodległości Ukraińców, Litwinów i Białorusinów, nawet jeśli mieliby oni budować wrogię wobec Polski państwa. Giedroyc podkreślał zresztą, że jego doktryna nie jest wcale wymierzona w Rosjan. Przeciwnie, miała być krokiem ku budowie postimperialnej, demokratycznej Rosji.

Błędy Ameryki i Polski

Czy dziś, gdy stoimy wobec śmiertelnego zagrożenia dla niezależności Białorusi i Ukrainy, wskazówki Giedroycia zostały docenione? Sprawa z pewnością dalece wykracza poza samą Polskę. Jest odpowiedzialnością przede wszystkim Ameryki. Trudno zaś uciec od wrażenia, że gdy w 1991 roku rozpadł się Związek Radziecki, Stany Zjednoczone nie powtórzyły strategii, która przyniosła tak dobre owoce w przypadku Niemiec i Japonii. Wzięła raczej górę inna logika: zemsty nad dawnym rywalem.

Przeciwnicy z II wojny światowej nie tylko zostali zwolnieni z płacenia reparacji, ale Waszyngton włączył oba kraje do struktur integracyjnych Zachodu i otworzył przed nimi przepastny rynek amerykańskich konsumentów. To także pod nadzorem Amerykanów została zbudowana demokracja w Niemczech i Japonii, dziś dwóch spośród najbardziej stabilnych krajów Zachodu. Idąc tą drogą, Amerykanie z pewnością wyciągnęli wnioski z porażki okresu międzywojennego. Ale ich priorytetem było też zaprzęgnięcie Niemców i Japończyków do dzieła powstrzymania potęgi Związku Radzieckiego. Takiego zewnętrznego zagrożenia dla Stanów już natomiast nie było, gdy rozpadła się komunistyczne imperium Moskwy.

W przeciwieństwie do doświadczeń Niemiec i Japonii, burzliwe lata 90. ubiegłego wieku w Rosji mogły kojarzyć się ze wszystkim, tylko nie stabilnością. Kraj postawił na ultraliberalne wzorce po części lansowane przez amerykańskich ekonomistów, spychając dziesiątki milionów Rosjan w nędzę i oddając ogromne majątki

nielicznym oligarchom. To znów odwrotność zrębów systemu socjalnego, który powstał po wojnie w Niemczech i Japonii.

W 1994 r. Bill Clinton podjął brzemienną w skutki decyzję o poszerzeniu NATO. Koncepcja Białego Domu zakładała wówczas, że będzie to początek procesu rozbudowy strefy demokracji w Europie Środkowo-Wschodniej, który stopniowo obejmie i samą Rosję. Upokorzona utratą ostatniego imperium kolonialnego świata Moskwa uznała jednak, że Ameryka tak naprawdę dąży do umocnienia własnej strefy wpływów i utrwalenia rosyjskiej słabości. Ówczesny sekretarz generalny NATO George Robertson niedawno ujawnił, jak zaraz po przejęciu władzy w 2000 r. roku Putin zwrócił się do niego z pytaniem o możliwość przyjęcia do NATO. Szybko jednak zmienił zdanie.

Amerykańska doktryna być może byłaby w pełni usprawiedliwiona, gdyby nie to, że Waszyngton nie był w stanie wywiązać się z obietnic danych nowym sojusznikom. Gruzja uwiaryła, że George W. Bush przyjdzie jej z pomocą, gdy rosyjskie czołgi jechały na Tbilisi. Ukraina sądziła, że amerykańskie gwarancje integralności terytorialnej, jakie otrzymała w 1994 r. w zamian za rezygnację z broni jądrowej, są coś warte. Za każdym razem okazywało się inaczej.

Tak, jak w przypadku Chin, amerykańska administracja uległa też złudzeniu, że cytując Francisa Fukuyamę „historia się skończyła” i w świecie globalizacji, każdy kraj w końcu postawi na gospodarkę rynkową i demokrację. Będzie chciał powielić model cywilizacji Ameryki. Okazało się jednak, że co prawda rosyjscy oligarchowie posyłają dzieci na brytyjskie uniwersytety i budują wille na Lazurowym Wybrzeżu, ale z nielicznymi wyjątkami chętnie też uczestniczą w odbudowie autorytarnego imperium.

Ale i kolejne polskie rządy wpisały się w amerykańską strategię. W 2008 roku szef polskiej dyplomacji Radosław Sikorski, wraz ze swoim szwedzkim kolegą Carlem Bildtem, zainicjował najbardziej ambitny program dyplomatyczny wykuty w naszych czasach w Warszawie - Partnerstwo Wschodnie. Idea stopniowej integracji Ukrainy, Białorusi, Mołdawii, Gruzji i Armenii ze światem Zachodu nie byłaby zła, gdyby mogła być wprowadzona w życie. Gdy jednak Gruzini i Ukraińcy zapłacili za nią krwią i utratą części terytorium okazało się, że Bruksela nie jest gotowa im stworzyć choćby odległej perspektywy członkostwa w Unii. Podobnie stało się i z NATO.

Za rządów PiS, już w skromniejszej odsłonie, pomysł odbudowy idei ULB Giedroycia powrócił w postaci Międzymorza. Chodziło o integrację systemów energetycznych i transportowych szeroko pojętej Europy Środkowej, dzięki zaangażowaniu administracji Donalda Trumpa. Gdy jednak miliardier przegrał wybory, okazało się, że jego następcą nie jest zainteresowany projektem, chyba że z udziałem Niemiec. Tymczasem forsując budowę Nord Stream 2, Angela Merkel pokazała, że sojusz z Berlinem nie może zagwarantować bezpieczeństwa Ukrainie. Jarosław Kaczyński wdał się z kolei w historyczny spór o rzeź wołyńską z przywódcami Ukrainy, zapominając o przesłaniu Redaktora z Maisons-Laffitte, że umacnianie ukraińskiej niezależności jest zawsze w interesie Polski, nawet jeśli przejściowo władze w Kijowie byłyby nam wrogię.

Błąd niedoceny potencjału rosyjskiego imperializmu został też poczyniony względem Białorusi. Jak pokazały ujawnione latem maile, Mateusz Morawiecki uważał za „polityczne złoto” demokratyczne protesty w Mińsku w 2020 r. Uważał, że sam, idąc na odsiecz wrogom Łukaszenki, umocni swoją pozycję polityczną. Z perspektywy białoruskiego dyktatora punktem zwrotnym okazał się wywiad polskiego premiera dla Nexty, platformy koordynującej protesty za Bugiem. Łukaszenko nie tylko zmiażdżył demokratyczny bunt, ale też uznał, że Polska jest jego osobistym wrogiem. A Warszawa nie udało się przekonać Zachodu do stworzenia dla Białorusi realnej alternatywy dla rosyjskiej okupacji.

Dzisiaj jedyną szansą na to, że Polska przestanie być krajem frontowym, wydaje się być wewnętrzne załamanie skorumpowanej i niezreformowanej gospodarki rosyjskiej. Rządzona przez starzejącego się przywódcę Moskwa, która zdecydowała się na konflikt z Zachodem, choć umacnia to zależność Rosji od Chin, staje przed wyzwaniem załamania demograficznego. Wciąż nie docenia też skutków rewolucji ekologicznej, która spowoduje, że popyt na rosyjski gaz i ropę już za kilka lat opadnie. Czy i kiedy może to zaowocować powstaniem za naszą wschodnią granicą demokratycznych, nowoczesnych państw, nikt trzeźwo myślący chyba nie odważy się dziś jednak przewidzieć. ©